z Jego dogłębnych studiów opartych na mocnych podstawach historyczno-metodologicznych. Z imponującą łatwością dokonywał ujęć syntetycznych, pogłębionych równocześnie refleksją filozoficzną, jak choćby ujęcie metod naukowych, koncepcji nauki i jej typologii (np. monografia *Pojęcie nauki i klasyfikacja nauk,* Lublin, 1982^3).

W pracy naukowej uczył podejścia wszechstronnego. Jakkolwiek w filozofii klasycznej dopuszczał stosowanie metod formalnych, nawiązując tym samym do tradycji międzywojennej szkoły lwowsko-warszawskiej, czynił to jednak ze świadomością osobliwości metodologicznej klasycznej teorii bytu. Sądził, że badania prowadzone w aspekcie metodologiczno-epistemologicznym służyć winny lepszemu zdeterminowaniu przedmiotu metafizyki, dostarczając jej narzędzi do opracowania i uporządkowania występujących w niej typów rozumowań (zob. napisaną wspólnie z M. A. Krąpcem monografię *Z teorii i metodologii metod filozofowania,* "Summarium", 4 (1976), s. 3-10). Koncentrując badania na filozofii klasycznej, opracował metodologiczną charakterystykę poszczególnych jej dyscyplin (takich jak metafizyka ogólna, antropologia filozoficzna, etyka, filozofia religii i filozofia dziejów). Szeroko prowadzone analizy metafilozoficzne na gruncie klasycznej teorii bytu skierowały Jego zainteresowania metodologiczne w stronę teologii. W licznych artykułach charakteryzował osobliwość metod i poznania teologicznego zwracając ostatnio uwagę na jego relację do filozofii (nie opublikowany jeszcze i napisany w ostatnich tygodniach przed śmiercią artykuł *Czy filozofia służy teologii?*).

Nie sposób tu szczegółowo zarysować Jego szerokich zainteresowań, począwszy od metodologii nauk dedukcyjnych, logiki formalnej i semiotyki, poprzez szeroko pojętą metodologię nauk i filozofię nauki, aż do metodologii filozofii klasycznej i teologii. Dzięki wynikom swoich badań stał się współtwórcą tzw. lubelskiej szkoły filozoficznej w zakresie jej podstaw metodologicznych. Swoje nazwisko już za życia wpisał w karty historii Uniwersytetu, któremu wiernie służył przez 40 lat swojej pracy naukowo-dydaktycznej, służył jako człowiek wielkiego serca, niestrudzony, dobry kapłan, który wszystkie swoje siły, zapał, zdolności poświęcił *Deo et Patriae.*

ANNA I. BUCZEK

ŚWIADECTWO KRESU

Platon napisał w *Uczcie,* że dopiero gdzieś na końcu drogi przychodzi taki moment, kiedy życie nabiera trochę wartości. Bliskie jest to dość powszechnemu przeczuciu, że śmierć jest tym momentem, który nadaje właściwy sens naszemu życiu. Dojrzewając do śmierci, dojrzewamy do tego momentu, w którym człowiek w pełni urzeczywistnia siebie, doprowadza do kresu swoje akty osobowe, wybory i decyzje. Czasem twierdzi się, że dopiero moment śmierci zamykając życie na ziemi, rzuca na nie pełny blask. Jak u Norwida: "Nie stargam cię ja – nie! – Ja u-wydatnię!"

W takiej perspektywie patrzę na siedem fryburskich tygodni, przeżytych na granicy śmierci i życia, rozstania i spotkania, zwątpienia i wiary, ciemności i światła. Na granicy

samookreślenia ostatecznego, sięgającego wyborów uzasadniających. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że 4 lutego 1986 r. rozpoczął się ostatni już odcinek drogi.

Gdy rozpoczynaliśmy naszą podróż ku nadziei, był mroźny i słoneczny dzień, typowy dzień zimowy. Pożegnanie przez grono najbliższych było serdeczne, ale jakoś lękliwie i milcząco rzeczowe. Łatwo można było wyczuć paraliżującą wszystkich obawę o trwałość tej nadziei, którą wiązaliśmy z technicznymi możliwościami medycyny zagranicznej. Lęk o najbliższą przyszłość. Nawet kwiaty przyniesione przez studentów były tylko milczącymi świadkami. Miały zastąpić mowę serc zatrwożonych, szukających po omacku słów odpowiednich. Wiadomo było, że Ksiądz Dziekan jak mało kto lubił kwiaty. Potrafił się nimi zachwycać, umiejętnie dobierał pasujący wazon, a potem dbał o nie troskliwie. W tym dniu nie poświęcił im żadnej uwagi. Sam był milczący, zatopiony we własnym kształcie nieujawnionych myśli – nie wydawał żadnych dyspozycji, nie formułował ustaleń czynionych "na wszelki wypadek". Podjął trudną decyzję o wyjeździe na podstawie rozsądnie przeprowadzonego rachunku dóbr, z nadzieją, że przywrócone mu siły wykorzysta z pożytkiem dla środowiska, z którym się identyfikował, powiązany na różne sposoby z ludźmi i instytucjami. Zaproszenie do podjęcia leczenia za granicą przyjął jako obowiązek, który trzeba spełnić, ale bez entuzjazmu.

Nieoczekiwanie serdeczne przyjęcie we Fryburgu Bryzgowijskim było mobilizujące, umocniło skierowanie ku przyszłości. Protektor naszej nadziei pan Józef Pawliczek, dyrektor niemieckiego Caritasu, zadbał o konsultację u najlepszych specjalistów, przygotował mieszkanie w położonym u podnóży zalesionych wzgórz domu sióstr benedyktynek, zaktywizował mieszkających we Fryburgu Polaków oraz czasowo przebywających tam polskich studentów i stypendystów. Serdeczna i pełna zatroskania atmosfera owocowała.

Wyraźna poprawa samopoczucia sprzyjała odbudowywanej nadziei, pozwoliła myśleć optymistyczniej, z wychyleniem ku przyszłości. Konkretyzowały się więc tezy referatu przygotowywanego na majową sesję Instytutu Jana Pawła II. Przybierały kształt ustaleń klarownych, jasnych i spójnych zestawienia różnych sposobów wyzwalania człowieka, proponowanych przez rozmaite kierunki filozoficzne i przez chrześcijaństwo. Pogłębiały się przemyślenia zawarte w ostatnim, napisanym już podczas choroby artykule, próbującym zmierzyć się z tytułowym pytaniem: *Czy filozofia służy teologii?* A chodziło tu przecież o uzasadnienia najgłębsze i podjęcie raz jeszcze próby zapewnienia teologii metodologicznie pewnej drogi, chroniącej ją przed meandrami zmiennych mód i nie zawsze trafnych stylów myślenia. Sprawa użyteczności filozofii i jej związków z teologią urosła do imperatywu zwieńczającego metodologiczne zainteresowania i dokonania Księdza Profesora.

Atmosfera pogodnej ufności sprzyjała też nawiązywaniu kontaktów. Najpierw z profesorami Uniwersytetu Fryburskiego dla wymiany myśli naukowej, a potem naturalnie ze studentami, którzy chętnie opowiadali o swoich trudnościach, a jeszcze ochotniej słuchali wskazówek Księdza Profesora. Niejednokrotnie pragnęli znać jego zdanie na tematy bardzo osobiste, pozanaukowe, związane z ich trudnym nieraz pobytem poza ojczyzną. Te spotkania przypominały życzliwą otwartość drzwi jego lubelskiego domu. Przychodzili więc i tu, pisali listy i telefonowali z Paryża, Szwajcarii, Włoch, przyjeżdżali z różnych, odległych nieraz stron Niemiec. Mówi się, że wraz ze śmiercią Księdza Dziekana zakończyło swą działalność swoiste biuro poradnictwa naukowego. Myślę, że nie tylko naukowego. Rady i uwagi naukotwórcze miały walor życzliwości i nierzadko były początkiem troski przyjacielskiej. Przeplatały się więc ze sobą rady profesorskie z radami przyjaciela.

Podobnie było i z praktyką dydaktyczną. Bywało, że ten surowy egzaminator potrafił bezbłędnie rozpoznać przyczynę niepowodzeń studenckich i okazaną życzliwością dopomóc do przezwyciężenia trudności. Niejednemu zaś po prostu dodał odwagi do studiowania. Odróżniał, i to na ogół trafnie, zawinione nieuctwo, leserstwo – jak powiadał – od tzw. trudności obiektywnych. To przede wszystkim było podstawą odróżniania "dyrektorów", "wyrobników naukowych" od "aniołków", jak miał zwyczaj zwracać się do studentów. Zadziwiał przy tym umiejętnością wyczuwania w ludziach ich prawdziwych wartości, najlepszych cech, skrywanych niejednokrotnie głęboko z lęku przed śmiesznością. Umiał ryzykować w stawianiu na odkryte w człowieku dobro.

Trudząc się nad propozycją planu czy wstępu do jakiejś cudzej pracy, niszczył niedoskonałe próby spolegliwie. Tropił niewłaściwe podejście do tematu, brak zrozumienia problemu i złe jego postawienie, ale człowieka oszczędzał. Konsultację kończyła zawsze pozytywna propozycja, dobry punkt wyjścia do rozpoczęcia nowego etapu pracy nad pracą. A konsultacje obejmowały bardzo różnorodne dziedziny, dlatego budził zrozumiały podziw jego wszechstronny umysł i bezstronne podejście do naukowego dzieła. Sam mówił niekiedy o sobie, że jest typem encyklopedysty i niewątpliwie miał dar syntetycznych ujęć i dostrzegania uzasadnień związków pomiędzy odległymi dziedzinami.

We Fryburgu doświadczał życzliwości bezinteresownej. Nie dziękowano za zdany egzamin, za sugestię podjęcia ważnego i aktualnego tematu ani za poprawienie niedoskonałego planu. Widziano człowieka. Dlatego okazywane zainteresowanie i świadczone w różny sposób dobro miało smak owocu życia. Lekarskie postanowienie o konieczności hospitalizacji zostało również podane jako "dobra wiadomość".

18 lutego rozpoczął się więc nowy etap fryburskich doświadczeń w Lorettokrankenhaus, szpitalu prowadzonym przez katolickie siostry. Wszystko w nim zdumiewało innością, odmiennością postaw wobec chorego. Najbardziej zaś kwiaty ofiarowane na powitanie przez s. Serenę, oddziałową pielęgniarkę. Może chciano w ten sposób niwelować przykre uczucia związane z obcością miejsca i języka, brakiem wielu bliskich i konieczną izolacją? Dość, że do pacjenta odnoszono się z należnym szacunkiem i niemal czułością, jak do podmiotu, który decyduje, co się z jego chorym ciałem będzie działo, jakim lekarskim zabiegom i proponowanym badaniom będzie poddane. A decyzje powoli sięgały kresu. Możliwości się kurczyły. Zawodziły, nie osiągając zamierzonego celu, wszelkie racjonalnie podejmowane działania. Ten, który był przykładem racjonalisty, musiał uznać ograniczoność ludzkiego rozumu.

Stan zdrowia coraz bardziej się pogarszał. Choroba ujawniała się poprzez różne symptomy, kryjąc za nimi swe właściwe źródło. Ksiądz Dziekan informował o swych ciągle nowych dolegliwościach rzeczowo, jasno, konkretnie, bez jakichkolwiek sugestii czy domysłów i jakby z rosnącym dystansem do własnego ciała, choroby i cierpienia. Odsłaniał tajniki swych najgłębszych wartościowań, wyborów i ostatecznych celów. Dopełniał tym razem już nie naukowej, ale syntezy swego życia, dojrzewającego do decyzji otwarcia się ku wieczności.

Rozmowy naukowe, coraz rzadsze, zastępowały rozważania wokół spraw eschatologicznych. Razem wchodziliśmy w nowy wymiar. Jego obrazem stawał się ciemny tunel niepewności. Posuwaliśmy się w nim po omacku. Bolesna tęsknota za światłem, za nadzieją, za bezpieczeństwem własnego domu dominowała nad innymi uczuciami. Przybierała postać determinującą do świadectwa: "nie mam zamiaru występować przeciw Panu Bogu, będzie ostatecznie tak, jak On zechce". Wiara nie była ubrana w filozoficzne uzasadnienia.

Zaskakująco prosta, była płaszczyzną osobistego spotkania z Panem Bogiem, w pełnym – chciałoby się powiedzieć – dziecięcym zaufaniu do Niego. Dlatego i cierpienie było przyjęte jako "konieczne oczyszczenie, aby można było wejść do nieba".

Postawa ta przywoływała z pamięci słowa, które Ksiądz Dziekan napisał kiedyś w liście: "[...] najusilniej proszę, miej bardziej optymistyczną postawę i właściwy dystans do wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz ciebie. Jakoś to będzie tak, jak trzeba żeby było. Trzeba liczyć nie tylko na siebie, lecz także na najbliższych, a przede wszystkim na Wszechmocnego i Najlepszego Boga." W szpitalnym pokoju można było wyraźnie zobaczyć, jak głęboko prawdziwe były to słowa. Stało bowiem za nimi osobiste przeświadczenie o prawdzie życia chrześcijańskiego, opartego na wierze. Świadectwo uczące siebie i innych sensu życia i mądrości, o której tak wiele pisał w ostatnim, lubelskim okresie życia.

Samotność szpitalnego odosobnienia była coraz bardziej samotnością, w której dojrzewają i rozstrzygają się najważniejsze ludzkie sprawy. Nabierała cech samotności doświadczanej w duchu wiary i sprzyjała odnalezieniu samotności wobec Boga, tej najpiękniejszej, która jest wolnością. Pomagała budowaniu przestrzeni duchowej, która wypełniała się modlitwą, wierną – wbrew rosnącym słabościom ciała. Odpowiedni klimat do takiego przeżywania samotności wytwarzał też katolicki szpital. Wrażliwość jego personelu na życzenia i potrzeby chorych ujawniała się w postawie czuwania i geście pochylania się. A jest to wyraz szacunku i pokory wobec tajemnic życia, śmierci i cierpienia. Jest postawą służenia tym wartościom, o których daje świadectwo. Za swą powinność wobec pacjentów uznano również konieczność stworzenia im właściwych warunków do przeżywania ludzkiej egzystencji w obliczu Boga, do lepszego wniknięcia w sens życia, przemijania, śmierci i wieczności, do przyjęcia pełnej prawdy o "przyodzianiu się w nieśmiertelność".

W centrum szpitala była kaplica, z którą dzięki radiofonizacji całego gmachu były połączone wszystkie pokoje. Celebrowane w niej nabożeństwa były transmitowane, grono ich uczestników mogło być powiększone o tych, którzy nie byli w stanie sami przyjść. Przez kilka pierwszych dni pobytu (do 23 lutego) modlił się w niej i Ksiądz Dziekan. Potem przez blisko miesiąc uczestniczył w misterium Bożej obecności dzięki wykorzystaniu techniki dla człowieka. Czy nie było to dobrodziejstwo światła w gęstej ciemności tunelu? Rozjaśnienie nocy wiary? Dostarczał go i różaniec, ulubiona forma modlitwy. Odmawiany codziennie stawał się miarą dobrze przeżytego dnia. Gdy brakowało sił, aby gubiącą się gdzieś myśl podnieść do nieba, modliliśmy się wspólnie, razem szukając światła i głębszego porządku poza sobą.

Gdy mieliśmy nadzieję już tylko na powrót do domu, okazało niespodziewanie swą moc twarde prawo bytowania ludzkiego na ziemi. Trzeba było, mimo bólu, zrezygnować i z tej nikłej nadziei. Życie wypływało. Dotknięcie śmierci było zaskakująco szybkie. I choć ostatni etap drogi pozostał okryty tajemnicą, wiele prawd o dobiegającym kresu życiu stawało się czytelnych. Świat wewnętrznych wartości nabierał ostatecznego kształtu, właściwego sensu. Świadectwo o nich stawało się darem dla nas. A świadkiem ostatniej decyzji był przyjaciel, ks. bp W. Skomorucha. Udzielił sakramentalnych znaków Bożej obecności. Widział też radość wyrażoną jasno, chociaż trudno było już mówić. Sam stał się też znakiem. Diecezja siedlecka żegnała swego kapłana. A obok niej uniwersytet, któremu Ksiądz Dziekan oddał wszystkie swe siły, oraz niemieccy przyjaciele, od których doznał bezinteresownej gościny serca. Trzy współbolejące środowiska blisko obecne uczestniczyły w cichej, spokojnej zgodzie. Dokonywała się ona w łagodności światła świecy przy krzyżu i w ciszy szeptanego

na przemian po polsku i po niemiecku różańca. Ostateczna "Bądź wola Twoja", wyrażona bez walki i zmagań, stała się testamentem, świadectwem wiary.